



Trzcina cukrowa tędy, *kinoo** tamtędy, bawełna wszędy. – Dekadencki Feudał, Wujek Asif, końcem laski pokazywał nam swoje uprawy schowane przed wzrokiem za ścianą z drzew i krzewów, odgradzającą ogród i porośnięty pnączami dom od reszty farmy. – Proponuję spacer. Jeśli się zgubicie, zorganizujemy dramatyczną akcję ratunkową z udziałem miejscowej policji, psów gończych i kilku zaklinaczy węży dla dodania całemu przedsięwzięciu wiejskiego kolorytu.

– W Karaczi też mamy zaklinaczy węży – burknął Karim. Dąsał się. Tego nie przewidziałam, choć zazwyczaj byłam tak zestrojona z jego humorami, że emocje, które uznawałam za swoje, dopiero po kilku godzinach okazywały się jego emocjami. Ale przez całą drogę ze stacji do domu zaabsorbowana byłam czarem, jaki roztaczał wokół siebie Wujek Asif, więc nawet do głowy mi nie przyszło, że reakcja Karima mogła różnić się od mojej. Jak można było pozostawać głuchym i ślepym na wdzięk Wujka Asifa, człowieka o oczach jak szop, brzuchu przypominającym poduszkę i twarzy w kształcie gruszki?

* *kinoo* – gatunek cytrusów, rodzaj mandarynki, uprawiany głównie w Pakistanie i Indiach, owoce pakistańskiego *kinoo* mają wspaniałe aromaty i miękką skórkę dającą się łatwo obierać [przyp. red.].

– Och, te plażowe walki węży i mangust! Wszystko to lipa! Wężom, biedakom, wyrywa się kły, żeby słodkie małe futerkowce? futerkowcy? futrzaki? zawsze mogły wygrać.

– Każdy to wie – prychnął Karim. Nadepnęłam mu na stopę i obdarzyłam Wujka Asifa uśmiechem za dwoje – szerokim i czarującym, takim, który moje wargi ledwo mogły znieść. W zimnym, suchym powietrzu usta już zaczynały mi się łuszczyć, więc bałam się, że jak tak dalej pójdzie i nadam im jeszcze większą siłę wyrazu, popękają mi do krwi.

– Czy jest Ciocia Laila? – spytałam.

Wujek Asif zniżył głos do szeptu.

– W środku nocy porwał ją pewien zaklinacz węży. – Wyprostował się i wyszczerzył zęby. – Ale obiecał zwrócić ją w okolicach pory obiadowej. Zostawiła mi instrukcje, żebyście z chwilą przyjazdu zjedli, wykąpali się i zadzwonili do rodziców, ale chwila ta już minęła, a my wciąż sterczymy na werandzie, więc możecie spokojnie rozprostować nogi i inne części ciała. Tylko wróćcie za godzinę, okej? – Pomachał laską do kogoś, kogo nie mogłam dostrzec, i ruszył w stronę pól trzciny cukrowej.

– Dziwadło z niego – podsumował Karim, gdy oddaliliśmy się od domu, przecinając długi wypielęgnowany ogród pełen rabatek róż i chryzantem.

– A z ciebie, jak powiedziałyby Sonia, idiotadło. Po co te fochy? – To ja miałam dłuższe nogi, ale Karim tak wyciągał swoje, że z trudem mogłam za nim nadążyć, gdy skierował się na otaczającą ogród ścieżkę, z której głową naprzód rzucił się w krzaki.

Kilka stóp dalej w żywopłocie znajdowała się szeroka na dwie osoby luka umożliwiająca łatwe przejście między domem a polami, ale byłam już w takim wieku, że zaczynałam

się przejmować, czy nie zachowuję się pańciowato, zignorowałam więc otwór i podążyłam śladami Karima. Musiał wiedzieć, że jestem tuż za nim, co nie powstrzymało go jednak od odsunięcia łatwo poddającej się gałęzi, skorzystania z nowo utworzonego przejścia i puszczenia jej tuż przed moim nosem. Kłująca zieloność poleciała na mnie z takim impetem, że musiałam podnieść ręce i osłonić się.

– Karim, no co ty?

– Idziemy, nie gadamy. – Wydostał się z krzaków i nawet nie przystanął, żeby ogarnąć wzrokiem wszystkie te akry upraw ciągnące się aż po pofałdowany, spowity mgłą horyzont; ze spuszczoną głową maszerował dalej po wydeptanej w błocie ścieżce, graniczącej z polem bawełny.

Wszystko to było mocno podejrzone. Dąsy stanowiły moją specjalność. Dąsałam się na wszystko i na wszystkich. Teraz podejrzewam, że to przez tyranie biustonoszy. Wtedy nie potrafiłam jeszcze pogodzić się z myślą, że całe życie będę musiała chodzić ze spętaną klatką piersiową. Wracając do tematu, to Karim zawsze dążył do pojednania, był zrównoważonym żartownisiem, w którego obecności nigdy nie mogłam dąsać się dłużej niż przez parę minut. *Spójrz* – powiedział kiedyś, pokazując mi kupioną za pięć rupii maskę przedstawiającą twarz Rambo w opasce, w której Sylwek Stallone prezentował się wyjątkowo pakistańsko. – *To oblicze mego poczucia humoru.* – Wsunął mi ją na głowę. – *Spróbuj się w niej podąsać! Wyzynam cię! Raptus Rambo Raheen.*

Na środku ścieżki przystanął i zamknął oczy. Z oddali dobiegały nas nikle odgłosy rolniczych urzędzeń.

– To szum fal – powiedział Karim, wykazując się nie lada fantazją. Podniósł rękę i zaczął ciąć nią powietrze. – To chatka na plaży, należąca do Zii, a tam jest chatka Runty.

Tam mamy jaskinię, gdzie Zia chodzi zapalić, a znowu tu znaleźliśmy tego małego żółwika, a tam widać ten stromy klif, który wydawał nam się nie do zdobycia, są też Wrota Karima i Wrota Raheen, Skała Soni chowa się w cieniu, a tam, dwa lata temu, moi rodzice zbudowali zamek z piasku. – Opuścił rękę i zacisnął powieki.

Cóż, doszłam do wniosku, że jeśli faktycznie coś go gnębi, to albo mi o tym powie, albo szybko zapomni. Przyspieszyłam kroku i wyprzedziłam go. Przez kilka chwil odległość między nami zwiększała się, a potem, nie wiedzieć jak, znowu znaleźliśmy się obok siebie i szliśmy ramię w ramię, a naszym stopom rytm wybijał wierszyk „Lewa, prawa, lewa, prawa, jest cholewa, nie ma rękawa”. Minęliśmy pola bawełny, minęliśmy brodzące w stawach bawoły, kozy i kury oraz trawę zieleńszą niż wszystkie trawniki w Karaczi, następne pola bawełny i kolejne pola bawełny, i po raz pierwszy uderzyło mnie, że w Karaczi nigdy nigdzie nie chodziliśmy, ani między domem Karima a moim, ani z Sind Klubu do Gymkhany; nigdzie, jedynie po plaży, i nawet tam można było dojść tylko do pewnego punktu, bo dalszą drogę uniemożliwiała woda albo skały, albo kraby, co oznaczało „Wystarczy już. Wracajcie”.

W drodze powrotnej do domu Karim podniósł z ziemi kurzy pazur.

– To mogłaby być rozgwiadza – zauważył. – To powinna być rozgwiadza. Powinniśmy być w domu. Planować wycieczkę na plażę. Powinniśmy być w domu. Nie przeszkadza ci, że nas tam nie ma?

– „W domu” jest anagramem do „muw do” mikrofonu. Albo do publiczności. Ale nie do mnie. Minąłeś się z powołaniem, Karim, powinieneś zostać aktorem. Co za dramatyzm! To ferie, fajnie jest. Możemy się poszwendać,

pomyszkować, robić, co nam się żywnie podoba. Poza tym nikt i tak nie pozwoliłby nam iść na plażę, przecież tam cały czas trwają zamieszki i inne wariactwa.

– Karaczi jest anagramem do „a raczki?” – Odwrócił się i zaczął iść tyłem. Kolorowo ubrane kobiety z przerzucenymi przez plecy prowizorycznymi torbami pełnymi bawełny przeszły obok i zaczęły chichotać, pokazując nas sobie palcami. Czułam się dziwnie wyobcowana.

– Karimazow?

– To tylko kolejne wariactwo – oświadczył, odwracając się przodem. – Nie przeszkadza ci, że jesteśmy tutaj, bo nasi rodzice uznali, że w domu nie będziemy bezpieczni?

Wzruszyłam ramionami. Pierwszy raz wyjechaliśmy gdzieś bez rodziców, a on musi odstawiać zaniepokojonego obywatela miasta targanego wojenną zawieruchą. A co by było, gdyby bohaterowie *Lwa, czarownicy i starej szafy** snuli się smętnie, powtarzając: „To, że tu jesteśmy, zawdzięczamy nalotom na Londyn. Jakież to straszne!”. Z takim podejściem nigdy nie udałoby im się pokonać schodów, a co dopiero znaleźć szafy. Chciałam podzielić się tą refleksją z Karimem, ale rok wcześniej zdecydowaliśmy, że pora wyrosnąć z *Opowieści z Narnii*, więc gdybym się na nie powołała, mógłby uznać mnie za dziecko i wyśmiać. Zamiast tego powiedziałam:

– Przecież nie zaszkodzi, jeśli pobędziemy tu parę dni.

Spojrzał na mnie jak na idiotkę.

– On uważa, że zmiana miejsca jest w stanie zmienić wszystko inne – oświadczył.

* *Lew, czarownica i stara szafa* – pierwszy tom z cyklu *Opowieści z Narnii* C. S. Lewisa, akcja rozgrywa się w 1940 r., dzieci ewakuowane z Londynu zamieszkują w wielkim wiekowym domu na wsi, gdzie w starej szafie odkrywają przejście do innego świata [przyp. red.].

– On, czyli kto? Twój tata? No i co z tego? Przecież jest w stanie coś zmienić. Czasami. Zależy co. – Zaczęłam mieć wrażenie, że nie wiem, o czym on mówi.

– Ale jak wrócimy, wszystko będzie jak dawniej. – Odzucił pazur z odrazą, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to kawałek martwego zwierzęcia. – Przed czym on mnie niby chroni?

– Przed kulami i bombami. Daj spokój, Krem, tu nie jest wcale tak źle.

Odwrócił się do mnie plecami i zaczął przecierać oczy. Pewnie jest zmęczony po podróży, pomyślałam. Ale w pociągu zasnął jeszcze przede mną, a obudził się dopiero wtedy, gdy urządziłam mu pobudkę. Wiedziałam, że powinnam spytać, co go gnębi, i to nie tylko dzisiaj, bo coś gnębiło go prawie codziennie od kilku tygodni, a może miesięcy? W tych dniach – gdy złość wzbierała w nas zupełnie bez powodu, a samotność dawała wytchnienie i możliwość porozmyślenia o sprawach, które dawniej zbijały nas w chichoczące grupki – wszyscy zaczęliśmy zaskakiwać się nawzajem swoimi reakcjami na świat. Okazjonalne wybuchy złości skierowane przeciwko ojcu Karima łatwo można więc było przypisać dorastaniu i zdaje się, że wszyscy inni – Sonia, Zia, moi rodzice – widzieli w nich właśnie objawy młodzieńczej burzy i naporu. Nawet Wujek Ali kwitował miny Karima jakimś zniecierpliwionym komentarzem w rodzaju „chłopcy w tym wieku”, a Ciocia Maheen wzdychała. Ale gniew Karima miał o wiele większy ciężar gatunkowy, było w nim coś na wskroś logicznego, przepojonego jakąś straszliwą przyczynowością. Czy nikt oprócz mnie tego nie dostrzegał? Gdy reszta naszej paczki wciąż podlegała zmianom, Karim dorastał, spoglądał w potencjalną, wymagowaną

przyszłość i godził się z myślą, że zapewne przyjdzie mu żyć w świecie mniej przyjemnym niż ten wyśniony. Gdy tak patrzył, odwracając od nas głowę, do mnie wyciągał rękę i nie wiem, czy stawiałam opór, bo brakowało mi odwagi, by spojrzeć w przepaść, nad którą balansowało jego życie, czy też dlatego, że całą siłę wyteżczałam na wciągnięcie go do mojego świata, na skąpany w świetle księżyca morski brzeg, zarzucony fosforyzującymi rozgwiazdami; a fala przypływu, która mogłaby zalać całe to piękno, była o całe lata świetlne stąd.

– Jak jechaliśmy na farmę, zdawało mi się, że pierwszy raz w życiu widzę śnieg – szepnęłam mu do ucha, pochylając się do przodu. Karim zapatrzony był w jakiś odległy punkt na polu bawełny. – Ale to tylko zmęczone chmury postanowiły odpocząć sobie na ziemi.

Oderwał się od obserwacji tego, co tak zajmowało go na horyzoncie, uśmiechnął się i dwoma palcami chwycił mnie za nadgarstek. Był wtedy o wiele niższy ode mnie, ale mój nadgarstek idealnie wpasował się w O, utworzone przez jego kciuk i palec wskazujący. Po chwili śmignął na pole, jego stopy zachlupotały w błocie. Wyciągnął z łupiny kłębuszek bawełny i wrócił do mnie.

– Proszę. Znalazłem ci aniołka w przebraniu. – Na czubku kłębka siedziała biedronka. Karim przyłożył mi ten kłębek do dłoni, na którą biedronka zaraz ochoczo się wdrapała. Chciałam go przytulić, ale naszła mnie – zaskakująca dla mnie samej – myśl, że będę musiała przycisnąć piersi do jego klatki piersiowej, więc zamiast tego spojrzałam na biedronkę i zaczęłam się głośno zastanawiać, czy jeśli dotknę jej pleców, zafarbuje mi palec na czerwono? Plecki stały się nagle skrzydłami i biedronka zapikowała w dół.

Nie był to koniec pikowania na dzisiaj. W jadalni, kilka godzin później, Ciocia Laila nakryła nas na robieniu min do lustra, które stanowiła powierzchnia długiego, wypolerowanego na błysk stołu.

– Skarby moje! – zakrzyknęła, spadając na nas niczym jastrzęb, tyle że z wyciągniętymi ramionami, i ukucnęła pomiędzy naszymi misternie rzeźbionymi krzesłami. Ramiona te owinęły się nam wokół szyj i przyciągnęły nas do siebie ruchem tak gwałtownym, że twarzami niemalże obiliśmy się o jej kości policzkowe. Złożyła wylancômowane usta do pocałunków, które w zamierzeniu miały chyba wylądować na naszych policzkach dopiero po odbiciu się od przeciwległej ściany. Ami powiedziała kiedyś, że nikt, a już najmniej sama zainteresowana, nie wie, gdzie w zachowaniu Cioci Laili kończy się parodia naszej śmietanki towarzyskiej, a gdzie zaczyna się autentyczne ucieleśnienie Kolana Karaczi.

Nie wspominałam jeszcze o Kolanach Karaczi? Albo – w miejscowym żargonie – o Ghutnach? Opowieść ta aż się prosi o dygresję, ale na razie potrzynam was w nieświadomości. Teraz światła skierowane są na Ciocię Lailę, której uwaga też się należy.

– Przekażcie wszystkim w Karaczi, że jestem *bilkul** żoną farmera – powiedziała, sadowiac się na krzesło. – Na co komu przyjęcia? Ja spełniam się, zbierając bawełnę i karmiąc kozy.

– Każdy ranek zastaje cię z sierpem na koszeniu trzciny cukrowej – podchwycił Karim, któremu humor poprawił się na tyle, że uśmiechnął się do Wujka Asifa, wchodzącego właśnie do pokoju.

* *bilkul* – (urdu) całkiem, zupełnie [przyj red.].

– Albo po kolana w *keechar*^{*}, żeby pomóc przyjść na świat bawołowi – radośnie zapięła Ciocia Laila.

– Każdego ranka budzi cię ptaszek – powiedziałam.

I natychmiast tego pożałowałam.

Karim zasłonił sobie twarz serwetką. Ciocia Laila – piękna, elegancka, starannie uczesana i wymanikiurowana Ciocia Laila – parsknęła śmiechem. Rzuciłam okiem na Wujka Asifa, ale ten udawał tak pochłoniętego ładowaniem jedzenia na talerz, że nie słyszy, co się wokół niego dzieje. Albo tak mi się z początku zdawało.

– Lekcja historii – powiedział kilka sekund później, przerykując szczebiot Cioci Laili i odwracając się z talerzem do Karima i mnie. – W roku 1947 stworzono Wschodni i Zachodni Pakistan, dzięki czemu fallus Indii obdarzony został jądrami. – Uformował ryż w subkontynent.

– Doprawdy, Asif – powiedziała Ciocia Laila. – Bez genitaliów w jadalni.

Zarumieniłam się. Karim założył nogę na nogę.

– Mamy po trzysta lat – oznajmiłam. – Może zaczekajcie jakieś pięć lat z takimi rozmowami w naszej obecności.

Ciocia Laila zaśmiała się.

– Gdy ja miałam dziesięć lat, zaprzyjaźniłam się z waznymi mamami, również dziesięcioletnimi, objaśniając im, skąd się biorą dzieci.

Karim znowu schował się za serwetką.

– Nie udawaj niewiniątka. – Ciocia Laila zabrała mu serwetkę i trzepnęła go nią po ramieniu. – Wiem wszystko o magazynach znalezionych pod twoim łóżkiem. Twoja mama mi opowiedziała.

^{*} *keechar* – (urdu) błoto [przyp. red.].

– To nie były moje magazyny! Zia je przyniósł. Nie wierzę, że powiedziała... Nie wierzę, że mi to teraz wypominasz.

– A jednak.

– Patrzcie. – Wujek Asif polał sobie talerz *daalem**. Płyn zaczął zalewać ryż i spływać bokami. – To Indus, jak płynie przez łąd i trafia w końcu do Morza Arabskiego. Patrzcie, tu mamy Oyster Rocks, a tu latarnię Manora, pod postacią marchewki. Spójrzcie na te wezbrane dopływy. Jhelum, Sutlej, Ravi, Chenab i ten piąty, jak go tam zwał. Zapora Guddu** nie wytrzymuje. Patrzcie, teraz czubkiem widelca strącam szczyty Himalajom. Nanga Parbat pada pod atakiem soczewicy.

Wiem, co wtedy pomyślałam. Myślałam: oto jak wygląda rozrywka w Wiochostanie. Ale Karim, gdy na niego zerknęłam, żeby sprawdzić, czy podniósł brew, co oznaczałoby, że nasze myśli jak zwykle biegną tym samym torem, wgapił się w swój talerz i grzebał w nim widelcem, jakby i on chciał zrobić mapę z ryżu, ale obraz w jego głowie cały czas przybierał coraz to inne kształty, niwecząc próby ich odtworzenia.

Choć, prawdę mówiąc, zmyśliłam to.

Ale teraz nie zmyślam: znajomy Wujka Asifa, jakiś dyplomata, który wpadł na farmę po lunchu, żeby przynieść zabita przepiórkę, na pożegnanie ujął dłoń Karima i spytał:

– A więc jesteś synem Alego? Młodzieńców w twoim wieku obyczaj nakazuje pytać, kim będą, gdy dorosną, ale w twoim przypadku nie ma chyba potrzeby? Ali pewnie

* *daal* – (urdu) zupa z soczewicy [przyp. red.].

** zapora Guddu – zapora wodna na Indusie w pobliżu miasta Sakkhar [przyp. red.].

szykuje cię już do przejęcia interesu. Od trzech pokoleń twoja rodzina zapewnia mojej eleganckie nakrycia stołu.

– Nie – oświadczył Karim. – Nie pójdę w ślady ojca.

– Nie? A więc co będziesz robić?

Karim rozejrzał się i dostrzegł strużkę *daalu* na *kameezie** Wujka Asifa.

– Zamierzam robić mapy.

* *kameez* – (urdu) długa koszula lub tunika noszona zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety, część tradycyjnego stroju pakistańskiego [przyj. red.].